

Mój przyjaciel "Czika"



Widok ze Śnieżki. Foto: Krzysztof Tęcza

Po raz pierwszy spotkaliśmy się, jeśli mnie pamięć nie myli, w połowie lat siedemdziesiątych. Wydarzenie to miało miejsce w pociągu relacji Wrocław - Jelenia Góra. Znajomy poznał mnie z brodacami obfadowanymi tak jak i ja ogromnymi plecakami. Wśród nich był Karol. Drugi raz spotkaliśmy się na imprezie zorganizowanej w Klatce z okazji 12-lecia wrocławskich "Wyrupiarzy". Wówczas okazało się, iż jest on specem od robienia grzańca, ale takiego prawdziwego. Wtedy też wyruszyliśmy w kilka osób na naszą pierwszą wycieczkę w góry (Grzbiet Lasocki), gdzie echo nadspodziewanie mocno niosło "śpiewane" przez nas piosenki. W tym też czasie Karol przystąpił do organizowanej przeze mnie Grupy Rejonowej Straży Ochrony Przyrody, która na swoją siedzibę otrzymała od dyrekcji Karkonoskiego Parku narodowego chatkę "Smogorniak". Strażnica ta wymagała jednak remontu. Cała grupa podjęła się tego dzieła z wielkim entuzjazmem mimo, że materiały budowlane musieliśmy wnieść na własnych plecach. Z tego też okresu utrwaliła mi się w pamięci dość zabawna scenka. Pewnego dnia, gdy większość grupy pracowała, z lasu wyłoniła się ogromna postać. Był to Karol. Z wielkim plecakiem wyładowanym do oporu (wystającym wysoko ponad głowę), z rolką papy na ramieniu, pogwizdując, kroczył posuwicie przez wiatrołom. Przeskoczył strumień i wspiął się na stromą górkę (bo tak było bliżej). Popatrzył na nasze zdziwione twarze i powiedział: "No co się tak gapicie? Do roboty!".

Wiele faktów już zatarło się w mojej pamięci. Niektóre jednak sytuacje pamiętam doskonale. Ponieważ zarówno Karol, jak i ja byliśmy w tamtych latach (nie minęło to nam do dnia dzisiejszego) zauroczeni górami, wiele razy umawialiśmy się na wspólną wędrowkę. Wynikały z tego nieraz zabawne sytuacje. Zwłaszcza w okresie zimowym, gdy każdy z nas szedł oddzielnie w umówione miejsce. Zgromadzeni przy nocnym ognisku turyści opowiadali jak to widzieli z daleka stwora znanego jako Yeti. Olbrzym ten nie zważając na grubą pokrywę śniegu podążał ogromnymi krokami pod górę. Na dowód prawdomówności swoich opowieści chcieli nawet prowadzić do miejsca, w którym Yeti pozostawił swoje ślady. Największe jednak podniecenie udzielało się im, gdy z opowiadań wynikało, iż inni spotykali owego dziwnego stwora o tej samej porze w zupełnie różnych miejscach. Opowiadali to z ogromnym przejęciem nie wiedząc, że Yeti siedzi obok nich. Wyjaśnienie było proste. Otóż tymi ludźmi śniegu byliśmy ja, Karol i jeszcze jeden kolega o imieniu Mirek. Wszyscy nosiliśmy buty „Himalaje” o słusznym numerze 11. Jesteśmy raczej dobrze zbudowani i idąc z wielkimi worami (plecakami bazowymi) na plecach, wspinając się pod górę, dajemy wielkie kroki zostawiając ślady stóp dwa razy większe niż inni. Nic więc dziwnego, że nie wiedzący o tym turyści nie potrafili wytłumaczyć logicznie tego, co widzieli. Ponieważ wibramy w naszych butach różniły się nieco od siebie, my mogliśmy powiedzieć, który z nas szedł danym szlakiem. Zabawne jednak było słuchać o tym wszystkim.

W chatce AKT przebywaliśmy wiele razy – przeważnie zimą. Zawsze mieliśmy tam świetną zabawę, jak szliśmy po opał. Wiadomo, śniegu metr albo dwa, a w nim uschnięte choinki. Szukanie i ściąganie ich kończyło się przeważnie tak, że Karol był mocno natarty śniegiem. Nie mam pojęcia dlaczego w spotkaniu ze mną był on przeważnie na straconej pozycji. Może dlatego, iż nie wiedział, kiedy mi odbije i napadnę na niego.

Pewnego razu poszliśmy do Puchatki. Było już po północy, gdy przez radiotelefon dano nam znać, że z dołu idą dwie osoby. Zorganizowaliśmy szybko przywitanie. Droga była podzielona na odcinki.

Czekaliśmy na nich w „Lasku strachu”. Była pyszna zabawa. Na drugi dzień schodziliśmy w nocy do Karpacza. Koło hotelu Skalny kolega opowiedział mi, jak to Karol z jeszcze jednym kumplem kupowali kiedyś w tym hotelu papierosy. Wiadomo, że w tak ekskluzywnym obiekcie widok człowieka powracającego po kilkudniowym pobycie w górach, zwłaszcza w deszczową pogodę, nie jest ciekawy. Oni tymczasem weszli do środka. Ponieważ w szatni nie było papierosów, chcieli przejść do kawiarni. Tam jednak grzecznie, lecz stanowczo, nie wpuszczono ich. Kierownik sali szybko przyniósł papierosy, aby tylko się ich pozbyć.



Widok ze Śnieżki. Foto: Krzysztof Tęcza

Karol pozbawiony jest słuchu muzycznego (ja zresztą też, co jest jeszcze jedną naszą wspólną cechą). On jednak, w przeciwieństwie do mnie, słuch stracił (jak twierdzi) zimą 1977 roku, kiedy to przebywał w chatce Walońskiej w Izerach. „Kiedyś – opowiadał – siedzimy sobie w chatce, piecyk fajnie grzeje, a tu dziewczyny zaczęły koncert: „Hej, przeleciał ptaszek”, „W zielonym gaju”, „Filon” itd. Wyły niemiłosiernie. Wyjść nie mogłem, bo na zewnątrz okropny mróz. I jak tu nie stracić słuchu. A ja głupi przywiozłem je na własnych nartach. Żadnej wdzięczności”.

Swego czasu Karol wziął w ajencję schronisko. Wiele razy z przyjaciółmi mieliśmy okazję spędzić wolny czas w Kotle Łomniczki. Jak tylko spadł śnieg, zaczynały się kłopoty z opałem. Prądu tam praktycznie nie było. Kiedyś zdarzyło się, że sanie ciągnięte przez konie wywróciły się i węgiel leżał na drodze (zapakowany w worki). Akurat szedłem z żoną w odwiedzin. Położyliśmy dwa worki na związane narty i w drogę. Do dzisiaj wspominamy ten dzień jako akcję „czarne złoto” jako, że przywieziony przez nas węgiel był wówczas na wagę złota.

Czas wyjaśnić przezwisko Karola – „Czika”. Otóż pewnego dnia w szkole (był wówczas uczniem LO na wydziale zaocznym) podeszła do niego dziewczyna z prośbą o pomoc w zademonstrowaniu pewnego niegroźnego chwytu. Na jej prośbę Karol pochylił się do przodu, a prawą rękę przetożył pod lewą nogą. Dziewczyna chwyciła go za tą rękę i powiedziała: „No, Czika, idziemy”. Wybuchł gromki śmiech. Działo się to na przerwie w ogromnym korytarzu pełnym ludzi. Karol na szczęście jest człowiekiem z humorem i dla niego była to również pyszna zabawa.

W roku 1985 postanowiliśmy wspólnie z Karolem zapisać się na sływ Bobrem. Było to z naszej strony czyste szaleństwo, ale czasami tak też trzeba. Załatwiłem formalności, wypożyczyłem odpowiedni kajak i zameldowaliśmy się na starcie. Było tam z pół tysiąca osób. Gdy prawie wszyscy wyruszyli, zdecydowaliśmy się uczynić to samo. Sprawnie napompowaliśmy nasz kajak i wsiedliśmy do niego. Niestety, wywołało to tylko olbrzymią salwę śmiechu ze strony pozostałych wodniaków. Okazało się

bowiem, że kajak jest wprawdzie dwuosobowy, ale jak dla nas ma zbyt małą wyporność. Na szczęście, Karola ktoś wziął na wolne miejsce, ja popłynąłem sam. Na mecie pierwszego etapu pożyczono nam kajak plastikowy. Dalej popłynęliśmy już razem. Oczywiście skrętnie omijaliśmy wszelkie przeszkody i nie braliśmy przykładu z szaleńców nie baczących na różne progi i kaskady. Gdy dopływaliśmy do Szprotawy, wyszła na wierzch nasza nieznajomość sztuki wiosłowania. Obeszliśmy kaskadę i tak jak wszyscy chcieliśmy płynąć dalej. Nie zwróciliśmy jednak uwagi, że inni dają się ponieść prądom rzeczny, a dopiero później wiosłują. My uczyniliśmy to od razu i od razu kajak zrobił przewrót. Wyrzuciło nas do wody. Było tam dość głęboko, jednak daliśmy sobie radę. Nie mogliśmy ścierpieć, że kilkaset metrów wyżej był doprowadzony do rzeki cuchnący ściek. Na mecie w Żaganiu odbywało się sporo imprez. Najzabawniejsze, co nam się tam przydarzyło, to to co oglądaliśmy na kiermaszu książki. Ja, niestety, w tłumie nie widziałem z daleka tytułów (okulary utopiłem podczas wywrotki), a on za bardzo nie przykładał do tego wagi. Dopiero później, gdy ludzie zaczytywali się „Piórkami” Sztudyngera, Karol nie zdzierzył i poleciał by stanąć w kolejce. Oczywiście obszedł się smakiem. Tak to przeszliśmy chrzest wodniaków.



Widok ze Śnieżki. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ Karol ma niewielką chatulkę pod Witoszą, często z żoną i dziećmi spędzamy wolny czas u niego. Karol jako dobry gospodarz zapewnia opał na ognisko lub do kominka. Zależnie od pogody. Ilekroć jestem u niego w domu, zawsze oglądam z niekłamanym podziwem jego mini-muzeum. Ma on bowiem ciekawą, a zarazem dziwną pasję. Zbiera buty: sportowe, turystyczne, letnie, zimowe itp. Wszystkie te buty mają oczywiście tą zaletę. Że są obuwiami użytkowymi. Nie ma tutaj praktycznie ani jednej pary, która nie spełniałaby swojej podstawowej funkcji. Wyróżnikiem zauważalnym od razu po wejściu do domu jest ich rozmiar - słuszny – gwarantujący dużą „stopę życiową” właścicielowi. Który już nieraz zapraszał gości celem obejrzenia nowych, coraz to wymyślniejszych ekspozycji.

Nieraz w czasie nocnych gawęd przy ognisku, gdy blask księżyca odbija się w nieco przetartej czuprynie Karola, myślę sobie, jak to właściwie jest. Prawie wszyscy, których znałem, z którymi chodziłem w góry, odeszli w niepamięć. A my, ja i Karol, przez kilkanaście lat znosimy się, mimo kaprysów z obu stron. Przecież jesteśmy w pewnym sensie przeciwieństwem siebie. Od czasu naszego poznania wiele się zmieniło, a my wciąż się spotykamy. Ostatnio mniej, lecz wynika to z charakteru pracy i obecnie różnych miejsc zamieszkania. Myślę jednak, że mimo różnicy zdań i zapatrywań na świat i życie, mamy w pewnej mierze i w pewnych konkretnych sytuacjach wiele zaufania do siebie. Wierzę, że jeszcze nie raz będzie można spotkać nas na wspólnej wycieczce.

Krzysztof Tęcza